



Przedstawiamy, przeprowadzony przez redakcję "Tygodnika Mazowsze", wywiad z Tadeuszem Konwickim, wybitnym pisarzem i reżyserem, autorem wielu powieści i m. in. "Rojaty", "Sennik wspaniały", "Wniebowstąpienie", "Kalendarz i klejnoty" oraz wydane w drugim obiegu: "Mała apokalipsa", "Kompleks polski", "Wschody i zachody Księżyca", "Rauka podziemia", "Widmo "Ostatni dzień lata", "Zaduski", "Salto", "Jak daleko stąd, jak blisko". Na podstawie książki Konwickiego oparty jest scenariusz goszczącego obecnie na ekranach kin filmu Andrzeja Wajdy "Kronika wypadków miłosnych", w którym zrealizował rolę wyjątkową.

Poniższa rozmowa jest próbą oceny bieżącej sytuacji w Polsce i esencjonalnych możliwości rozmowy wywarowej w naszym kraju. Jaki będzie pierwszy rok, co stanie się w nadchodzących miesiącach? - prorokuje Tadeusz Konwicki.

TM.: Mówi się, że zaproponowano Panu wydanie w KAW-ie "Małej Apokalipsy" i "Kompleksu polskiego" w wielkim nakładzie...

Tadeusz Konwicki: Nikt mi tego nie zaproponował. Po prostu Bratny w wywiadzie telewizyjnym powiedział - sam nie słyszałem, ale tak mi powtarzają - że są możliwości dogadywania się z opozycją i że w sferze literatury mój zakres opozycyjności jest do przyjęcia, a "Mała Apokalipsa" i "Kompleks polski" można by wydać. Bratny zresztą, którego znam od wielu lat, wspominał mi kiedyś, że jest w radzie KAW i żeby tam spróbował. Ale ja nie mam zamiaru chodzić kolewować. Po pierwsze dlatego, że kiedyś te książki, wydane w drugim obiegu, jakby podarowałem, włożyłem w ten kompleks wspólnych starań, we wspólną walkę o nasz los. I nie mogę teraz lekko myślnie pakować walizek i przenosić się do podejrzanych antyszambrowych reżimów. Po drugie, gdyby nawet ktoś mi to oficjalnie zaproponował, musiałbym spytać moich dotychczasowych wydawców i oczywiście musieli by być zaznaczone, że pierwsze wydanie ukazało się w "Nowej" czy "Kregu". Jak na razie jest to więc tylko plotka, zresztą służąca do doraźnych manipulacji politycznych.

TM.: A czy dostrzega Pan, jakiegoś liberalizacyjnego gestu władzy, czy też po bliższym przyjrzeniu się wszystkiemu wygląda jak na informację o wydaniu Pańskich Książek?

T.K.: Mnie się wydaje, że w tej chwili żadne koniunkturalne gesty władzy i tak niczego nie zmienia. Nic nie ruszy do przodu w sensie społecznym, ekonomicznym, stabilizacyjnym, póki to społeczeństwo nie poczuje się jako suwerenne. W swej negacji posunęło się ono niezwykle daleko. Ten stan, w którym żyjemy, można by nazwać gigantycznym strajkiem wioskim. Wszystko funkcjonuje na jedną piętą gwizdka, wszystko trwa w pół letargu. Ale jest jednocześnie taki opór, taka siła bezwładu, zawzięcie się po latach przepychanek, prób, walk, społeczeństwo powiedziało władzy: dosyć. To jest sprawa zbiorowej świadomości, takiego obłoku twardego, który wytworzył się nad krajem. I nie skruszeje w wyniku wysiłków grupki czy pojedynczych ludzi. To zdumiewa władzę, która wykonuje szereg gestów, niby realistycznych i jest strasznie zaskoczona, że nie ma na nie odpowiedzi. Bo ten obłok, o którym mówię, mógłby skruszyć tylko jakiś silny impuls polityczno-moralny, który pchałby ludzi do tego, co się nazywa codziennym kreacjonizmem, codzienną twórczością, żeby każdy ruszył i zrobił coś z pożytkiem dla wszystkich.

TM.: Pan wierzy w taką możliwość?

T.K.: Tyle się w Polsce i w tym obozie zaczyna dzieć dziwnych rzeczy, że może się zdarzyć coś

zaskakującego, niekonwencjonalnego. Liczę na to, że Rosjanom w którymś momencie musi się znudzić rola strażnika więziennego. Nie lubię polityki i dlatego mogę mówić rzeczy naiwne. Pamiętam taki cytat z Jerzego Lubomirskiego, XIX-wiecznego arystokraty: "Jeżeli interesy Rosji na to pozwalają, chętnie zwracam uczucia ku mojej pierwotnej ojczyźnie". Otóż mnie się wydaje naiwne, że gdyby rządzący w tym kraju chcieli realizować interesy tego społeczeństwa "zwracali uczucia ku swojej pierwotnej ojczyźnie" - mogliby dużo więcej uzyskać w naszym kontekście politycznym.

Sam jestem zresztą ciekaw, co to się będzie działo. Bo przecież widać namacalnie, że aspiracje tego społeczeństwa do suwerenności muszą być zaspokojone i żadne siły zewnętrzne ani wewnętrzne nie mogą go już teraz ich pozabawić.

Ale lękam się i myślę o tym, że narody przy-parto do muru stają się często nieapetyczne dla reszty świata. Chorują przede wszystkim na jakiś elephantiasis nacjonalizmu, zaściankowoci, partykularyzmu. W zniewoleniu te wszystkie cechy bardzo źle działają na kondycję psychologiczną i ideologiczną społeczeństwa.

Jest teraz taka dziwna pauza

TM.: Czy Pan to dostrzega np. w działalności opozycyjnej?

T.K.: Może nie tak jaskrawo, ponieważ każdy ruch opozycyjny, podziemny uzyskuje z czasem pewną charyzmę, sakralizuje się - wymogi konspiracji i pewne skutki przesładowania czynią ludzi lepszymi niż by mogli być w innych warunkach.

Przez dziesiątki lat próby zajęcia stanowiska przez liderów intelektualnych kończyły się fiaskiem z powodu cenzury. To było pewnego rodzaju spętanie opinii publicznej, a do opinii publicznej zaliczam przede wszystkim sztukę. W nie-normalnych, a czasem tragicznych, okolicznościach, w jakich żyjemy, tylko sztuka gwarantuje, że społeczeństwo będzie w jakiś sposób zdrowe, nie straci dystansu do świata zewnętrznego, wolnego.

Uważam, że z biegiem czasu coraz bardziej będzie się doceniać te maniackalne ruchy, otoczone powściągliwą podejrzliwością i niechęcią - próby stworzenia niezależnego obiegu wydawniczego, które zaczęły się w połowie lat 70-ych. Ten męzny wysiłek grupy ludzi nas uratował, jakaś półkula mózgowa, dotąd uspiąca, zaczęła pracować. W tej chwili społeczeństwo jest obudzone, żyje bardzo aktywnie w sensie światopoglądowym i politycznym.

TM.: Jest Pan podejrzanie łagodny...

T.K.: Na mnie zawsze działa ogólna sytuacja psychiczna, jestem bardzo wrażliwym odbiornikiem. W tej chwili jest taka dziwna pauza w naszym społeczeństwie i w nastroju opozycji, która się nagle znalazła na powierzchni i zastanawia się, co robić. Tu trzeba znaleźć na długie lata polityczny i społeczny sposób na życie. Złagodzenie ogólnego nastroju mnie się też udzieliło, przestałem być agresywny. I to, co mnie wielokrotnie w opozycji demotywowało - ta nadgorączka, stan maligny, przebywanie w urojonym



W Dzienniku nad Narew (t.j.)

świecie - to wszystko jakby opadło, jakby się nasza opozycja może chwilowo, ale zeuropeizowała.

O ile bardzo mi się podobało w "Solidarności" że jest taka samoswoja i nie ogląda się na cały świat, że sama rzuca się na olbrzyma i jest przekonana, że da sobie radę - o tyle teraz ruchy niezależne powinny uwzględnić całość sytuacji na świecie. I szukać sojuszy, nawet odległych, czysto bezinteresownych, czysto intelektualnych czy moralnych. Bo też pamiętajmy, że pierwiastek moralny w świecie istnieje i Polacy byli zawsze nań wyczuleni.

TM.: Pan jest idealistą...

T.K.: Gdybym był politykiem, musiałbym być realista, ale mnie stać na luksus idealizmu, ponieważ nie mam żadnych interesów ulokowanych w jakichś grupach czy kierunkach politycznych. Z tego idealizmu biorą się moje sympatie do Lewicy. Chciałbym, żebyśmy wyzbyli się wstydu za to, co tutaj się działo pod rządami marksistowskiego reżimu, chciałbym, żeby odżył na przykład etos PPS-owski. Bo głos endecki czy endeoidalny sam się odradza, jak kamień napoju sam wyciązi z siebie

mi. Nad nim nie trzeba pochylać się, całować w czołko - on jest dziwnie żywoty. Bo jest związany z tą częścią naszej duszy, dla mnie antypolityczną, która jest zachowawcza, konserwatywna, egoistyczna przede wszystkim. Mnie te wszystkie hymny na temat indywidualnego wysiłku człowieka, jego pracy, na temat prywatnej gospodarki nie zachwycają, bo to jest oparte na egoizmie.

Lewica jest mi po prostu bardziej sympatyczna, choć nie czuję się człowiekiem lewicy. Nawet kiedy byłem w partii, też byłem outsiderem, może gorliwym, może takim, który chciał dostać się do środka, ale outsiderem. Miałem garb akowski, byłem poza grę, poza układami. Tak że zawsze było mnie stać na nawiązanie. Ja nawet widzę minę Kisiela, kiedy to czyta i powiada: a to stary osioł.

TM.: Pan rzeczywiście mówi nam tu rzeczy, co najmniej, niemożne.

T.K.: Jako ideolog jestem szalony amator. Mnie się jednak wydaje, że świat, Europa, nasi nasi dził muszą w końcu trochę zrozumieć Polaków. Jest ten dziwny narodem, który chodzi własnymi ścieżkami i nie nadaje się do obowodu ideologicznych i bloków wojskowych. Trzeba by wreszcie dać Polakom spokój od tej strony. Zaufać, że potrafią znaleźć dla siebie dobre miejsce w dzisiejszej Europie. Może to również oznaczać solidarność z każdym zniewolonym, nieszczęśliwym na świecie.

Tuż po odzyskaniu niepodległości Indie miały taki status: stały się rzecznikiem uciśnionych i krzywdzonych. Jeśli tylko gdzieś był jakiś konflikt - wyzvano Hindusów. Oczywiście, Indie teraz się zmieniły, same stały się mocarstwem. I jest wacat dla jakiegoś kraju, do którego wszyscy mieliby zaufanie, który by mógł wszędzie tam, gdzie są napięcia i drażliwość, wystąpić jako uczciwy mediator.

TM.: Ależ to jest jakiś nowy polski megalomanizm...

T.K.: My jesteśmy skazani na to. Powinniśmy zdobyć się na własną doktrynę polityczno-moralną, nie wisić na radzieckiej czy amerykańskiej kłance. Niejeden naród ma tendencje do tego, by się uważał za wybrany. Gdyby pretendował do tego kraj, który ma broń jądrową, świat powiedziałby: nie. Ale naród głęboko doświadczony, który dawałby gwarancje moralne - kto wie...

Można oczywiście uśmieć się do rozspuku z tego, co mówię, ale chciałbym przypomnieć, że Gandhi i jego doktryna też swego czasu były przedmiotem żartów. A potem stały się poważne, jeszcze później realne, wreszcie zwycięskie.

romansista Jan Klénos

Rysunki z książki T. Konwickiego "Nowy Świat i okolice" Czytelnik, Warszawa 1986

Czy nadszedł czas „dżihad”?

Ranek 17 grudnia, tysiące mieszkańców Alma-Aty jak co dzień spiesząc do pracy, kupiło "Kazachstańska Prawda", organ Komunistycznej Partii Kazachstanu. Informacja, która najbardziej ich zaciekawiła to krótki komunikat o zmianie na stanowisku I sekretarza KP Kazachstanu. Plenum KC postanowiło, iż stanowisko dotychczasowego I sekretarza, Kazacha Kunajewa obejmie Rosjanin Gienadij Kolbin. Tylko tyle, brak było zwykłych w takim wypadku są nistych komentarzy, sprawozdania z dyskusji, pie narnej, gratulacji. Pod notatką o zmianie przywództwa frówki życiorys nowego pierwszego sekretarza. Uwagę czytelników zainteresował jeszcze jeden szczegół - na ostatniej kolumnie niewielki afons, że gazeta w dniu jutrzejszym tj. 18 XII 1986 roku nie ukáže się.

Wiadomość o zmianie I sekretarza KC stała się tematem dnia. Namiet o dyskusje zaczęły się swłazac wśród Kazachów. Bo chociaż zmiany przywództwa spodziewano się od dawna, to wszyscy byli pewni, że dotychczasowy zwycięzca "aukcji" zostanie utrzymany na czele partii i stanie, jak zwykle, Kazach, zaś II sekretarzem zostanie Rosjanin. Od 1960 roku zasady "narodowościowe" były w Kazachstanie przestrzegane ściśle. Tym razem tak się nie stało...

Obserwator z zewnątrz, nie znający miejscowych stosunków, mógłby się zdziwić widząc reakcje Kazachów - mieszkańców Alma-Aty - studentów

Dla niego emiana ta nie była przecież aż tak istotna. Ale nie tutaj, w republice, w której Kazachów jest 36 %, a Rosjan ponad 40 %. Mając teoretycznie swoją własną republikę, Kazachowie pozostają w mniejszości.

Na rodzące się uczucia nacjonalistyczne wśród narodów azjatyckich ZSRR zwracano uwagę już dawno. Przynot naturalny około trzydziestu kilku promili, w porównaniu z piętnastoma i mniej w republikach europejskich dawał wiele do myślenia. Zastanawiano się, czy aby nie nadejdzie czas, gdy Tadżycy, Uzbęcy czy Kazachowie nie okażą się dość silni aby powiedzieć: nie, koniec ze Starszym Bratem. Na razie jednak nie nam takiego nie grozi, lech Krenl musi się liczyć z tymi azjatyckimi nacjonalizmami, tym bardziej, że wzmocniła je coś jeszcze - religia. Islam, który zwyciężył w Iranie i walczy przez 7 lat w Afganistanie, może stać się groźny i dla Związku Radzieckiego. Dlatego też polityka narodowościowa w azjatyckich republikach ZSRR była nader uważna, a wybór I sekretarza był bez wątpienia elementem tej polityki. Błąd popełniono w 1972 roku, gdy z funkcji I sekretarza KP Gruzji za korupcję usunęto Mławadze, w Tibili si uszno to jednak jako pociągnięcie "antygruzińskie" Krenla. Gofe z Gruzji powtórzono w Kazachstanie.

Kazachowie, robotnicy, studenci, nie sażana wieli się wychodząc z gromie wieczorem na ulicę Alma-Aty, dlaczego zdjęto Kunajewa; dla nich po-rzostawał fakt - na jego miejsce przychodzi Rosjanin. I to tu, w Kazachstanie, gdzie oni, Gon podarzę tej ziemi, czują się jak przybysze, gdyż jest ich mniej. I tłumy demonstrowały do późnych godzin nocnych, ktoś podpalił samochód, spełniono jakiś śklep. Część demonstrantów powró-

ci nazajutrz, dojdą nowi studenci i spieszący do pracy Kazachowie. Co więcej - okazało się, że protestują nie tylko przeciwko zmianom na stanowisku I sekretarza. Okazało się, że mają dość czekania w gigantycznych kolejkach, polowań na targu na żywność, że chcą to powiedzieć teraz i to głośno, tu na ulicy, skoro na zebraniu Komsonolu nie można.

W piątek Alma-Atcie "przywracano spokój". TASS wydał komunikat o "grupach młodzieży uczące się, podburzanej przez elementy nacjonalistyczne oraz pasożytnicze, protestujących przeciwko decyzji Plenum KC KP Kazachstanu".

Do Alma-Aty przybył przewodniczący Komitetu Kontroli Partyjnej przy KC KPZR, członek Biura Politycznego, Michaił Sołomienecw. Kolejne dni jego wizyty, to rozmowy i spotkania z "aktywnymi" partyjnymi. Znow TASS dał komunikat dla dziennikarzy. W telewizji przedstawiono spotkanie Kolbina i Sołomienecwa z aktywnym komosolskim Alma-Aty. I tyle informacji. Miejscowa gazeta "Kazachstańska Prawda", od której to komunikatu wszystko się zaczęło pozostała i tym razem powściągliwa, ograniczając się jedynie do przesłanki komunikatów TASS-a.

Na Zachodzie tymczasem zachwycono się, jaki to Gorbacow liberalny, że poinformował od razu Zachód o wydarzeniach. "Przecież tam taka wolność, jak u nas" wypadałoby powiedzieć zachodnim korespondentom. Tak więc samo podłożo konfliktu jak-by zostało zapomniane. Ale nie zapomnieli na pewno o nim Kazachowie i następi dzień że przypomniał im świat. I nie tylko oni. Na radzieckim telewizyjnym wschód stała się z roku na rok silniejsza. Al nadejdzie czas "wielkiej wojny".

Ket

7 I b.r. francuskie lotnictwo zbombardowało libijskie urządzenie radarowe w północnym Czadzie poważnie je uszkadzając. Była to odpowiedź na prze-prowadzone 4 I naloty samolotów libijskich na dwie miejscowości położone w południowym Czadzie, którego gwarantem bezpieczeństwa jest Francja. Z tego rejonu wyruszyli ochotnicy wspierający powstanie przeciwko okupantowi libijskiemu w p.łn. Czadzie. W kilka godzin po akcji francuskich bombowców Libia zaatakowała bazę prezydenta południowego Czadu Habre.

Władze PRL rozpatrują możliwość wizyty papieża Jana Pawła II w Gdańsku podczas III pielgrzymki Ojca Św. do Polski latem b.r. Poinformował o tym szef Urzędu d/s Wyznań Adama Topatka. 11 I milicja zatrzymała na warszawskiej Starówce 6 działaczy Włoskiej Partii Radikalnej, wśród których znajdowali się deputowani do Parlamentu Włoch oraz Parlamentu Europejskiego w Strasburgu. Protestowali oni przeciwko wizycie gen. Jaruzelskiego w Rzymie oraz domagali się poszanowania praw człowieka przez władze PRL. W rozdanych ulotkach wzniesli zapowiedź podobnych demonstracji we Włoszech.

W ostatnich dniach wzrosła aktywność antykomunistycznej partyzantki w Nikaragui. Około 2 000 partyzantów dostało się na teren swojego kraju z obozów w Hondurasie. Liczący 12 000 żołnierzy anty-sandhinowski ruch Contras wzmocniony został przez nikaraguańskich oficerów, którzy powrocili ze szkolenia w Stanach Zjednoczonych.

Antykomunistyczni partyzanci w Nikaragui opublikowali swój program polityczny. Dwa główne ugrupowania ruchu oporu przewidują, iż w razie obalenia władzy Daniela Ortegi w ciągu dwóch lat odbędzie się wybory do Zgromadzenia Narodowego. Stwierdzono, iż także sandhinści będą posiadali bierne i czynne prawo wyborcze. Do Sądu Najwyższego PRL trafiła rewizja wniesiona przez komitety założycielskie Związku Zawodowców "Solidarność" Pracowników Morskiej Stoczni Remontowej i Pracowników Portu przeciwko decyzji Sądu Wojewódzkiego odrzucającej wnioski o rejestrację. Jako uzasadnienie Sąd Wojewódzki stwierdził m.in., że nazwa "Solidarność" obukandydujących do rejestracji związków jest niezgodna z prawem.

Przywódcy partyzantów afgańskich zaproponowali podjęcie rokowań ruchu oporu bezpośrednio ze Związkiem Radzieckim. W wypadku zgody Moskwy na wycofanie swych wojsk z Afganistanu powołany zostałby Rząd Tymczasowy, którego zadaniem byłoby przygotowanie wyborów władz niezależnej i niezawiszonej republiki Afganistanu. Jednocześnie gwarantuje się, że terytorium afgańskie nie będzie w przyszłości wykorzystywane przez żadne z państw trzecich przeciwko ZSRR.

Zwolniony z zastania w mieście Gorki, laureat pokojowej Nagrody Nobla, prof. Andriej Sacharow powiedział w wywiadzie dla Głosu Ameryki, że zwolnienie więźniów sumienia miałyby ogromne znaczenie dla sytuacji w ZSRR. Pozwoliłoby pokonać psychologiczny strach, wyzwalać siły dla koniecznych reform i odbudowy kraju. Sacharow stwierdził także, że rozjem w Afganistanie byłby skuteczny tylko pod warunkiem wycofania wojsk radzieckich z tego kraju. ZSRR powinien nabrać charakteru "ostatecznego spotkania".

60 czołowych przedstawicieli życia muzycznego Wielkiej Brytanii wystosowało list otwarty do prezydenta CSRS Musaka. Domagają się oni zwolnienia z aresztu 5 członków sekcji jazzowej Czechosłowackiego Związku Muzyków oraz odstąpienie od oskarżenia kilku innych muzyków znanych jako działacze kulturalnego podziemia i obrońcy praw człowieka. List podpisał m.in. Jehudi Menuhin, Elton John, Bob Geldof, Paul McCartney.

ZSRR zakupił od amerykańskiej sieci telewizyjnej NBC film "The Day After", traktujący o sytuacji po radziecko-amerykańskiej wojnie nuklearnej. W umowie sprzedaży zastrzeżono, że tłumaczenie ścieżki dźwiękowej musi być ścisłe, a obraz nie może być przerywany komentarzami.

Rada Ministrów PRL wydała rozporządzenie, w którym ustanawia się płatne etaty dla organizacji młodzieżowych w zakładach pracy, uczelniach itp. Gdy organ hizacja liczy od 100 do 250 członków, to utworzenie etatu jest fakultatywne. Gdy powyżej 250 członków, to utworzenie etatu jest obowiązkowe. 3 płatne stanowiska pracy przysługują organizacjom, których członkami w zakładzie jest 5 000 osób.

Pomnik "Tęgo, który Ocalił Kraków", marszałka Iwana Koniewa został wybudowany za 250 mln zł.

Wojewódzki Komitet Obrony w Częstochowie podjął skrajnie penetracji miejsc, w których w ciągu dnia gromadzi się młodzież /kawiarnie, parki, itp./.

Trzyosobowe patrole złożone z milicjanta, nauczyciela i "przedstawiciela zakładu pracy" /zwykle ORMO-wca/ ruszyły na tony. Podana w jednym z ostatnich numerów "Promienistych" informacja o planowanym wydanu przez KAW "Małej apokalipsy" oraz "Kompleksu polskiego" Tadeusza Konwickiego pochodzi z Pręględzi Władomirów Agencji Wywiadowczej. Wyjaśnienie całej sprawy w/władzie obok. Serwis zamknął 12 I 1987 roku /nastuch, SI WNW, Topatnik Mazowsze... Dzień Dziękujemy w Władzie powinien nabrać charakteru "ostatecznego spotkania".

Przewodnik po katakumbach

"Powiedzieli mi: przecież jazz jest dekadencją, brzydzący muzyką! - ponieważ ubliża im to do głowy sowiecką prasę. Odpowiedziałem: to jest moja muzyka, i nie oddałbym jej nawet za światową rewolucję".

Langston Hughes

W czasach, kiedy wszystko w życiu było świeże - mieliśmy bowiem po rzeszanie, siedemnaście lat - grywał na saksofonie tenorowym. Bar dzo kiepsko. Nasz zespół nazywał się Red Music ale było to cokolwiek mylące, ponieważ nazwa ta nie miała żadnych politycznych konotacji; w Pradze istniał inny zespół pod nazwą Blue Music, a my ponieważ żyliśmy w nazistowskim protektoracie Czech i Moraw, nie mieliśmy pojęcia, że w jazzie słowo "blue" nie oznacza koloru. Nazwaaliśmy więc nasz zespół Red Music. Ale choć sama nazwa nie miała żadnych politycznych podtekstów, nasza dzika i słodka muzyka je posiadała; ponieważ jazz był zawsze ciemniem w boku wszystkich rządzących władzy maniaków, od Hitlera do Breżniewa, którzy kolejno po sobie rządzili w moim kraju.

Jakie polityczne konotacje? Lewicowe? Prawicowe? Rasowe? Klasowe? Nationalistyczne? Słownik ideologów i szarlatanów nie ma na to odpowiedniego określenia. Na początku, na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej, kiedy młoda generacja doznała muzycznego olśnienia, jazz nie był w ogóle wyrazem bdnego protestu. Jakiśkolwiek by nie były wady liberalnej republiki T. G. Masaryka, był to prawdziwy raj tolerancji kulturalnej. Niech sobie Le Roi Jones mówi co chce, ale kwintesencją tej muzyki, spóśb jej "robienia", nie jest protestem. Jej istotą jest coś bardziej elementarnego, "elan vital", wybuchowa i twórcza energia, która wy-czuwa się i w najsmutniejszym bluesie. A efektem jest katharsis.

Kiedy jednak życie jednostek i społeczeństw znajduje się pod kontrolą władzy, która sama po zostaje niekontrolowana - pod kontrolą handlarzy niewolników, carów, fuhrerów, pierwszych sekretarzy, marszałków, generałów i generalissimów, ideologów dyktatur po obu stronach politycznego spektrum - wtedy twórcza energia naprawdę zamienia się w protest. (...)

Totalitarni ideolodowie nie lubią prawdziwego życia /innych ludzi/, ponieważ nie mogą poddać go totalnej kontroli; nienawidzą sztuki jako wytwór pasji, pragnienia życia, ponieważ i to wymyka się spod kontroli, a w chwili kiedy sztuka zaczyna być kontrolowana, dławiąca paragrafami, umiera. Nim jednak zginie, albo znajdzie przytułek w jakimś samizdacie, staje się chęć nie chęć protestem. Staje się masowa jak na przykład jazz, staje się masowym protestem. Z tych to powodów ideologiczna a czasem i

polityczna broń kierowana jest przeciwko ludziom z saksofonem.

Red Music grała /iżle lecz z zapalem szesnastolatków/ za panowania najbardziej aryjskiego ze wszystkich Aryjczyków i jego kulturalnego sługi dra Goebbelsa, który oznajmił: "Będę mówić całkowicie otwarcie na temat tego, czy radio niemieckie miałoby nadawać tzw. muzykę jazzową. Jeżeli pod pojęciem jazz rozumiemy muzykę opartą na rytmie, całkowicie ignorując, a nawet pogardzając melodią, muzykę, w której rytm podkreśla przede wszystkim ohydne dźwięki wyjących instrumentów obrażających duszę ludzką wtedy na wyższe postawione pytanie możemy odpowiedzieć zdecydowanie negatywnie". A to był jeden z powodów, dla których wylisły i skomleliśmy, chrypliśmy i rycieliśmy, używając wszelkiego rodzaju tłumików poczynając od wa-wa aż po in-hat, a nie które z nich po prostu wyrabialiśmy sami. Ale i wtedy protest był sprawą drugorzędą. Myśmy tę muzykę kochali. (...)

Wielka wojna się skończyła. W tym samym kinie, w którym kiedyś przesiedziałem przez trzy seanse pod rząd na filmie Swing it, magister, swing it, siedziałem teraz przez trzy seanse patrząc na nędną kopię "Słonecznej serenady", z rosyjskimi napisami. Hollywoodka tręsnęła mnie nie interesowała, ale hipnotyzował mnie Glen Miller. Kopia filmu dostała się do mojego rodzinnego miasteczka wraz z Armią Czerwoną, zniszczo na czystym wyświetlaniu na froncie; uszkodzony dźwiękowy zapis dodawał /wyliszone już przez Goebbelsa/ okropności do In the Mood i do Chattanooga Choo Choo. Ale pomimo tych straszliwych miałem cudowne uczucie, że nareszcie nadchodzi złoty wiek jazzu.

Pomyłka. Wystarczyły trzy lata a jazz znów był w podziemiu. Nowi, mali Goebbelsowie zaczęli działać na polu, które stary diabeł im uwolnił. Obecnie byli zaopatrzeni w sowieckie bi-blię, a przede wszystkim faszyzującą "Muzykę nędrzy duchowej" jakiegoś W. Gorodinskiego i "Dolarowy kakofonie" L. Nestiewa. Słownik tych inkwizytorów niewiele się różnił od słownika kulawego doktora z tym, że byli jeszcze bardziej - o ile to w ogóle było możliwe - dumni ze swej ignorancji. Jazz i jazzem inspirowaną muzykę charakteryzowali za pomocą bogatego repertuaru hańbiących przymiotników typu "zyrodniaki", "dekadenci", "podły", "kłamliwy" itd. Porównywali naszą muzykę do gardłowego skomlenia wielbłądziej, do małpiej czkawki, a chociaż według nich jazz był muzyką ludośców, to jednocześnie wynaleźli ją kapitaliści po to, aby ogłosić uszy zmarszczanego świata rycczami, epileptycznymi utworami. Niestety, ci orwellowskie mistrzowie szybko znaleźli w Czechach wielu uczniów, którzy - jak to już w uczniu bywa - szli jeszcze dalej, głosząc dalej, że celem jazzu jest zniszczenie muzyki ludowej, wymazanie jej z duszy naszego ludu. (...)

Biskupi stalinowskiego obskurantyzmu, którym udało się wykląć "muzykę ludośców", spotkali się w latach pięćdziesiątych z jeszcze jednym problemem, który nosił nazwę dixieland. Rodzaj kanibalskiej muzyki z korzeniami zdecydowanie ludowymi, a w wielu wypadkach jednoznacznie proletariackimi /blues/, tak że nawet najbardziej orwellowski faszterz rzeczywiście miał by pełne ręce roboty chęć to wszystko zakłamać

Najbardziej poinformowani znali poszczególne nagrania dixielandu już w czasie wojny, a po wojnie mała grupa młodych ludzi usłyszała dixieland Grahama Bella na Festiwalu Młodzieży w Pradze. A ci młodzi ludzie założyli Czechoslovak Dixieland Band, a w ślad za nimi rozszalał się wórek z nazwami pachnącymi Luizjaną: Czechoslovak Washboard Beaters, Prague City Stompers, Memphis Dixie i cały szereg innych. Muzyka wujka Toma stała się jedyną formą jazzu tolerowaną na zgrupowaniach zwanych młodzieżową estradą, w ramach której wielkomięjskie dziewczyny poprzebierane w pseudoludowe stroje występowały /w stylu góralskim/ ody na cześć Stalina.

Z zespołem Czechoslovak Dixieland Band apostoł dixielandu Emanuel Uge zorganizował cały szereg występów w terenie. W zagubionych miasteczkach północno-wschodnich Czech znów dzięki nim slyszano się głośnie synkopy ujęte w ramy nudnych, pseudouczonych komentarzy, w których Doctor Angelicus dixielandu interpretował, specjalnie dla uszu politycznych szpicliów, najbardziej trywialny i podejrzaną utwor z okrzykowej chicagowskiej tancbudy jako Cierpienia Czarnego Ludu, który oczekuje z utęsknieniem jedynie na towarzysza Stalina i jego obozy wychowawcze, posyłające swych wychowanków na tamten świat.

Okazało się jednak, że jeżdżenie z występami dixielandu jest przedsięwzięciem nie całkiem pewnym. Z jednej strony jazz zostawił ślady w świadomości słuchaczy, a z drugiej muzykę, na którą bardziej wykształceni i dlatego mniej ortodoksyjni doroczy w Pradze zezwalali jako na "rodzaj muzycznego folkloru"; tzw. "zdrowe trzony" terenu "demaskowały" odkrywając jej prawdziwe oblicze. Dla nich była to - cytujemy list Powiatowej Rady Narodowej w Hranicach do organizatorów występów dla Rady Zakładowej Hranickiej Cementowni - "próba przekawarcowania zachodniego dekadentyzmu do myśli naszych robotników". Poziom muzyczny zespół jest taki, że nie wnosił nic pod kątem socjalistycznego realizmu, a przeciwnie, wolne improwizacje, które ten zespół szczególnie uprawia wnoszą muzyczną pornografię ... W 80 % zespół gra kosmopolityczną zachodnią muzykę o ekstrawaganckim charakterze, która zadziałała na obecnych na sali żołnierzy tak, że jeden z nich wbiegł na estradę i zaczął stepować. Po zwróceniu uwagi przez przedstawicieli organizacji młodzieżowej zespół zareagował tak, że zagrał szlagier "Szkoła miłości" oraz "Chatki pod górą", ale pozostała część wieczoru poświęcono znów zachodniej muzyce. Po przeprowadzeniu urzędowego śledztwa stwierdzono, że zespół ten nie wnosił nic nowego od strony kulturalnej, a przeciwnie, pozostawił planę na działalność Związku Czeskiej Młodzieży Socjalistycznej w Hranicach ...; a chociaż zespół ten występuje pod szyldem tej organizacji, to jednak ani jeden z członków nie należy do związku młodzieży. Stwierdzono urzędowo, że szczególnie występ odbywający się w restauracji "Skryzdy" gromadził młodzież należąca do miejscowej burżuazji; jednocześnie wzrosła ilość moralnych przestępstw, a szczególnie wzrosła się prostytucja". (...)

Jazz powoli zaczął przypominać Missisipi z

licznymi źródłami i dopływami. Partia znalazła sobie inne obiekty ataków: Elvisa Presleya, mar-tę rock'n'rollowe grupy z elektrycznymi gitarami domowego wyrobu, nowe piękne nazwy kojarzące się z oddalonymi miejscami - Hell's Devils, Backside Slappers, Rocking Horses - nowe okrzyki z podziemi. W końcu lat pięćdziesiątych a-resztowano grupę młodych ludzi, ponieważ w wynajętej sali w Manesie przysłuchiwali się nagra-nej na taśmę amerykańskiej dekadencjonalnej muzyce oraz oddawali się eskcentrycznemu tańczeniu rock'n'rolla. Niektórzy z nich następnie zostali skazani, a w czasie ich procesu unosił się nad nimi duch Vicherka.

A ponieważ całe masy młodych ludzi zaczęły nasładować różne gwiazdy, jazz przestał być uważany za niebezpieczny, tak że lata sześćdziesiąte stały się latami Międzynarodowych Festi-wali Jazzowych organizowanych pod patronatem rządowym. W wielkiej sali "Lucerna" slychać było muzykę Dona Cherry, Modern Jazz Quartetu, Teda Cursona ... Oklaskiwaliśmy ich, chociaż w większości nie była to muzyka, która znanymi i kochaliśmy. Byliśmy jak starzy wierni veterani. Szeroki młody dźwięk saksofonu gdzie się zagubił. Albo była to muzyka ezoteryczna, albo myśmy się postarzel. Jazz to nie tylko muzyka. To miłość młodych lat, która zostaje na zawsze, wszczępiona do duszy. (...)

Jazz ciągle widzi niepełną egzystencję w samym sercu europejskiego politycznego szaleństwa, choć pole bitwy przesunęło się już gdzie indziej. Ale ciągle jest to ta sama stara, znana historia: nad wschodnią Europą kraży widmo rocka, przeciwko któremu połączyły się wszystkie możliwe mocarstwa starego świata. Nowe, wdzięczne słowa wychynęły z podziemi podobne do starych "krystynek" i "bażantów" z ery nazistowskiej; teraz są "manicki" /określenie młodych z długimi włosami/, "andrasii" /słowo zrodzone z czeskiego wymawiania amerykańskiego "underground" - dla oznaczenia aficjonados rocka obojga płci. Anonimowi organizatorzy organizują Woodstocki w tych samych zagubionych miasteczkach wschodnich Czech, spotkania często brutalnie rozgane przez policję, kończące się aresztowaniami, przesłuchiwaniem, przedkładaniami; sama radość życia w politycznym państwie.

A legenda żyje dalej ... szereg nazw. The Ghetto Swingers, bezimienny band z Buchwaldu, big-band stalinowskiej Syberii, nieznamy posłowie jazzu w hitlerowskich mundurach krążący po Europie ze swoimi aranżacjami. The Leningrad Seven - anonimowi aficjonados, którzy w Moskwie lat sześćdziesiątych przetłumaczyli dla rosyjskiego samizdatu z czeskiego tłumaczenia oryginalnych amerykańskich materiałów teoretyczną antologię pt. "Twarz jazzu". A inni spiskowcy i inne grupy, jeszcze może bardziej tajemnicze, wygrywiają - kto wie - może w Chinach Mao-tse-tunga. Do nich trzeba dołączyć Plastic People of Universe i DG 307, dwie podziemne grupy muzyków rockowych i awangardowych poetów. Ich przedstawiciele, w chwili kiedy to piszę, zostali skazani w Pradze na więzienie za "organizowanie publicznych awantur". Ten odrzający słownik piekła, słownik Goebbelsa, słownik mordców.

7/za Puls 17, 1982-1983/

W listopadowym numerze miesięcznika Encounter z 1978 roku ukazał się artykuł Kiri-tyła Panowa zawierający kulisy jednej z akcji wywiadu Ludowej Republiki Bułgarii. Do przedstawięcia fragmentów tego tekstu skłania nas starożytność i niewygodność samej sprawy, jak i fakt, że wywiad bułgarski jest nam skądinąd znany jako inicjator samochu na życie papieża Jana Pawła II.

11 września 1978 roku Georgi Markow zmarł w wieku 49 lat w szpitalu St James w Londynie. Trzy dni wcześniej jego żona przywiezła go na szpitalny oddział pogotowia z gorączką 40 stopni C.

Chociaż lekarze nie potrafili dokładnie ustalić przyczyny śmierci, sprawa prawdopodobnie nie na tym by się skończyła, gdyby Markow nie nastawał tak bardzo na to, że 7 września padł ofiarą ataku koło Bush House - i gdyby był kimś innym, a nie znaczącym bułgarskim pisarzem i popularnym komentatorem Bułgarskiej Sekcji w Bush House /centrali Serwisu Zagranicznego BBC/. (...)

To - i gorączkowe opowiadanie Markowa o tym, co przydarzyło mu się 7 września - sprawiło na scenie policje. We wtorek, 12 września, detektywi Scotland Yardu rozpoczęli śledztwo w sprawie nagłej śmierci Georgi Markowa i to właśnie przyczyniło się do nadania sprawie szerokiego rozgłosu, szczególnie, że pier-wsza ekspertyza nie ujawniła "żadnej naturalnej przyczyny śmierci". Rzecznik policji powiedział, że Scotland Yard podchodzi "z otwar-tym umysłem" do historii opowiedzianej przez Markowa żonę i przyjaciół, że "mężczyzna z cudzoziemskim akcentem" ukłuł go w udo, "prawdopodobnie parasolem", kiedy niżej kolejkę na przystanku autobusowym na moście Waterloo po drodze do Bush House. Jak zwykle zaparkował swój samochód pod mostem. Scotland Yard oświadczył: "Jeżeli okazałoby się prawdą że parasol miał zatruty koniec, mielibyśmy tu potencjalny przypadek morderstwa ..." (...)

Georgi Markow był swego rodzaju fenomenem. W Bułgarii został w przeciągu jednych nocu literacką gwiazdą, i dostąpił przyjeźdca do uprzywilejowanej elity komunistycznej. Pozwoliło na nieograniczone podróże zagranicze i na ograniczoną swobodę intelektualną - a nawet stał się faworytem przywódcy partii, Todoru Żiwkova. (...)

Georgi Markow, urodzony w 1929 roku w Sofii, był synem oficera. Z marksistowsko-leninowskiego punktu widzenia był "wrogiem klasowym". Pozwoliło na jednak na studia i zdobycie dyplomu inżyniera-chemika. Na jego młodzieńcze talenty składała się również zdolność wnikliwej obserwacji i zwięzy, choć impresjonistyczny, styl literacki. Wynikiem były wydane w roku 1961 dwa tomy opowiadań, które pozwoliły mu na rozpoczęcie nowej kariery pełnoprawnego pisarza. W roku 1959 opublikował powieść science-fiction i kilka opowiadań, ale przełom przyszedł po wydaniu powieści "Ludzie". Powieść ta, traktująca o psychologicznych problemach nastolatka w prze-

de dniu służby wojskowej, przetłumaczona została na kilka języków i zdobyła nagrodę literacką. Markow został przyjęty do Związku Pisarzy, i niedługo potem Todor Żiwkow usłyszał o nim. Mimo że Markow odmówił wstąpienia do partii, zawarł z Żiwkowem przyjaźń, którą uważano za bliską. Żiwkow zapraszał go na wyprawy łowieckie; czujny powieściopisarz uzyskał rzadki wgląd w osobowość komunistycznego wodza i jego otoczenia.

Markow zażywał wszystkich przywilejów nowej klasy rządzącej /włącznie z autem EWW/, lecz oczy jego pozostały otwarte na zło strony życia w Bułgarii. Próbował opisać je, rap-

UWAGA! WRÓG PODSŁUCHUJE

MORDERSTWO NA MOŚCIE WATERLOO

owej ostrożnie, a potem, odważnie, w "Zamachach" - dramacie o spisku mającym na celu zabicie generała w państwie policyjnym, euro-wo skrytykowanym w dzienniku partyjnym Robot-niczesko delo. Inne dzieło science Markowa, "Człowiek, który był imą", wystawione zostało w Teatrze Satyrycznym, lecz po przedstawieniu pułkownik bezpieczeństwa powiedział mu "To c z e s k a sztuka". Chodziło mu o to, że była ona zainspirowana przez Praską Wiosnę; i to był jej koniec. Markow nie czekał dłużej. Wyjechał - legalnie - odwiedzić brata we Włoszech, i nigdy nie wrócił. (...)

Można przyjąć, że nie długo nie spotkałoby Georgi Markowa na uchodźstwie, gdyby nie podjął, jak się okazało - fatalnej, decyzji na-grania po bułgarsku i dla bułgarskich słuchaczy "Raportów in absentia", serii felietonów nadawanych przez Radio Wolna Europa. (...)

Audycje Markowa w RWE zblyżyły się w czasie ze wzrostem liczby zjawisk dysydenckich z udziałem zarówno Bułgarów zagranicą, jak i w kraju. Największym zaskoczeniem była ucieczka Władimira Kostowa w czerwiec 1977 roku - był on głównym komentatorem bułgarskiego radia i TV w Paryżu, i prawdopodobnie jego twarz i głos były najpopularniejsze w bułgarskich środkach przekazu. (...)

Chociaż RWE jest silnie zagłuszane, w wielu częściach Bułgarii można było odbierać je stosunkowo dobrze. Teraz jego mikrofony udostępniono dwóm znanym dysydencom, którzy byli członkami potężnej, uprzywilejowanej elity i znali te sfery "od podszywania" - pisarzowi Georgi Markowowi i dziennikarzowi Władimirovi Kostowowi. To, co mieli do powiedzenia intelektualistom i "szerokim masom" nie mogło "nie wzbudzić ich umysłów" i rosnąć krytycznych postaw wobec oficjalnej polityki. Ryzyko wzrostu opozycji i "wybrania wolności" przez inne prominentne osoby z pewnością niepokoiły bułgarskich przywódców. Coś trzeba było zrobić, być może coś wstrząsającego, co powstrzymałoby ten niebezpieczny trend raz na zawsze. (...)

Reżim bułgarski nie krył w przeszłości

sposobów, w jakie radził sobie z takimi sprawami, zwłaszcza gdy chodziło o uchodźców politycznych. Na przykład Boris Arsov, który twierdził, że jest socjaldemokratą, lecz był raczej kimś kogo zwykle nazywa się "zwariowanym ekstremistą", nocelk z Bułgarii w 1970 roku i osiadł w duńskim mieście Aarhus, gdzie zaczął wdawać pismo pod nazwą Lewski. W styczniu 1973 opublikował deklarację, podpisaną przez rzekomy "Bułgarski Tajny Komitet Rewolucyjny" w Sofii. Domagała się ona, między innymi, położenia kresu "wywieraniu psychologicznego i ekonomicznego nacisku na przebywających w Bułgarii krewnych emigrantów" i ostrzegająca, że jeżeli żądania nie zostaną spełnione, zostaną przedsięwzięte akcje przeciwko wszystkim komunistycznym przedstawicielom

Bułgarii na Zachodzie.

Bułgarska emigracja nie potraktowała Arso-wa poważnie, ale sofijski reżim zareagował inaczej. W lipcu porwany on został przez bułgarskich agentów, a w kilka miesięcy później w Sądzie dla Miasta Sofii rozpoczął się jego proces. Oskarżono go o bycie "przywódcą podziemnej organizacji terrorystycznej, zaangażowanej za granicą w działania przygotowawcze do akcji mającej zagrozić bezpieczeństwu Ludowej Republiki Bułgarii" /Robotniczesko Delo 21 września 1974/. W cztery dni później skazany został na 15 lat więzienia. Niedługo potem został zlikwidowany.

Bułgarski reżim nadał sprawie Arsowa duży rozgłos. Gazeta Konsomolu Narodna Mładeż pi-sała /26 września 1974/:

"Kiedy zdrayca naszego kraju, przestępca polityczny Boris Arsov i jego działalność zaczęły zagrażać bezpieczeństwu obywateli BRŁ za granicą, został on - powiedzmy - umiesz-kodliwiony. Ten sam los czeka każdego, kto zapomni o wielkiej wartości, jaką noszą pojęcia Ojczyzna i Naród, i kto wyznaczył sobie cele dawno już pogrzebane na śmietniku historii ..." (...)

Ostrzeżenie zostało wydane i wzór opracowany dla następnych akcji.

Georgi Markow był oczywiście świadomy tego wszystkiego, i kiedyś powiedział swoim przyjaciółom, że po rozpoczęciu nadawania jego felietonów przez Radio Wolna Europa, otrzymał z Sofii ostrzeżenie, że jeżeli nie zaprzestanie i nie odetnie się, "coś może mu się przytrafić". Jego starszy, zamieszkały w Bolonii, brat Nikoła powiedział korespondentowi BBC, że we wrześniu 1977, na rok przed zamachem na Markowa, otrzymał dziwny telefon.

Zadzwonił do mnie jakiś mężczyzna i powiedział, że podjęta została decyzja zabicia Georgi, pozbycia się go bez śladu. Początkowo w to nie wierzyłem. Było to absurdem, niemożliwością. Mężczyzna podał mi jednak pewne szczegóły, co do których nie mogło być wątpliwości. Powiedział, że ma być z całą pewnością otruty przy pierwszej okazji ... (...)

Nikoła złożył podobne oświadczenie detektywom z antyterrorystycznej kryjówki Scotland Yardu, którzy przeszukali go w Bolonii.

Śladem, który przekonał ich, że Markow padł ofiarą jednego w swoim rodzaju morderstwa politycznego, był małutki metalowy przedmiot znaleziony w udzie Georgi Markowa; była to niezwykle precyzyjnie wykonana kulka, większa od główki szpilki, z czterema mikroskopijnymi otworami.

Rzeczywiście przeznaczenie tej kulki wyjaśniło się, gdy Władimir Kostow ujawnił, że był przedmiotem podobnego ataku 26 sierpnia 1978 roku w Paryżu, gdy wysiadał z metra na stacji Ettoile. Chociaż w przeciągu 48 godzin ogarnęła go wysoka gorączka, szczęśliwie przeżył.

Kiedy dowiedział się o śmierci Markowa i okolicznościach z nią związanych, zaniepokoił się i poprosił o dalsze badania i opiekę lekarską. Zajęcie rentgenowskie wykazało obecność małego metalowego przedmiotu w jego udzie. Scotland Yard wysłał do Paryża detektywów; pod nadzorem policji francuskiej chirurcy usunął metalową kulkę /razem z niewielkim kawałkiem otaczającego ją ciała/ i przewieziono ją do laboratorium medycyny sądowej Scotland Yardu. Przy pomocy potężnego mikroskopu elektronowego ustalono, że kulka Markowa i kulka Kostowa są identyczne. Miały one otworki w tych samych miejscach i wykonane były z rzadkiego stopu platynowo-irydowego, nie odrzucanego przez ludzki organizm. W mikroskopijnych dziurkach kulki Kostowa ciągle jeszcze znajdowała się jakaś substancja. Jego życie zostało uratowane, gdyż otoczka nie uległa rozpuczeniu, i większa część trucizny nie dostała się do krwiobiegu. (...)

2 stycznia patolog dr David Gall ujawnił, że po serii doświadczeń z wieloma truciznami działającymi na naczyńna krwionośność uczeni zdecydowali, iż musiała to być toksyna zwana rycyną, znajdującą się w nasionach rycynusa. Dr Gall zrobił zastrzyk z tej trucizny świni, i przez kilka godzin nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Potem jednak - podobnie jak u Markowa - wstąpiła gorączka i ilość białych ciałek krwi gwałtownie wzrosła. Świnia zdołała w przeciągu 24 godzin. Dr Gall wyjaśnił, że rycyna spotyka się w większości krajów o ciepłym klimacie, lecz dodał, iż "ostatnio zajmowano się nią intensywnie" w Czechosłowacji i na Węgrzech. Nigdy przedtem nie użyto jej w Wielkiej Brytanii jako środka do popełnienia morderstwa; nie jest też znane antidotum przeciw niej. (...)

Obie kulki zawierały tę samą śmiertelną truciznę i były tak precyzyjne, że wykonane zostały mogły jedynie przez organizację dysponującą skomplikowanymi narzędziami i doświadczonymi ludźmi - na przykład przez wywiad jakiegokolwiek państwa.

Oczywiście zadanie antyterrorystycznej kryjówki Scotland Yardu było mniej lub bardziej beznadziejne. Morderca miał aż nadto czasu, aby zatrzeć wszystkie ślady mogące doprowadzić do jego wykrycia. (...)

Oczywiście zadanie antyterrorystycznej kryjówki Scotland Yardu było mniej lub bardziej beznadziejne. Morderca miał aż nadto czasu, aby zatrzeć wszystkie ślady mogące doprowadzić do jego wykrycia. (...)

PROSTE ROZWIĄZANIA I GENIALNE MYŚLI MAO TSE-TUNGA

Historia Chin komunistycznych, jak mało którego z państw współczesnych, opisana może być przez pryzmat jednej tylko postaci politycznej. W tym przypadku jest nią oczywiście Mao Tse-tung /26 XII 1893 - 9 IX 1976/. I sekretarz partii, z przerwami - prezydent i premier. I chociaż niemal nazajutrz po jego śmierci rozpoczęto walkę z "przejawami kultu jednostki"/np. proces słynnej "bandy czworga" i skazanie żony Mao na karę śmierci/, a i dziś się wprowadzają liczne reformy Chin różniące się od Chin epoki Mao, to jednak cień przewodniczącego i polityki terroru jest i dzisiaj złowrobnym punktem odniesienia dla Chińczyków. Kiedy 1 X 1949 roku oficjalnie proklamowano powstanie Chińskiej Republiki Ludowej pozycja Mao w partii była już ugruntowana w wyniku długoletniej wojny domowej /pisał o tym w jednym z poprzednich numerów/ Oczywiście był on nie tylko "najznakomitszym bojownikiem" ale i ... filozofem, przy filozofii którego "nawet" myśli Lenina i Marksa okazywały się po prostu mutacją pism Mao.

W rzeczy samej jego filozofia jest naiwnym powtórzeniem kilku sloganów marksizmu leninowsko-stalinowskiego, z dwoma zastrzeżeniami: z chłopstwa /a nie z robotników, tych bowiem w Chinach było około 1% /czyni klasę przewodnią oraz z nieustannej walki czyni prawo naczelne. Walka wynika z tego, że - wg Mao - w każdej rzeczy istnieje wewnętrzne przeciwieństwo, które są podstawą zmian. Ich warunkiem jednak jest zewnętrzna działalność, czyli rewolucja. Jej skutkiem każda rzecz przechodzi w swoje przeciwieństwo /dlatego na przykład wczorajsi sojusznicy byli rewolucyjni, ale dzisiaj stają się ich rozstrzeliwują jako kontrrewolucjonistów/. Oto cytata: "Wojna się kończy i przekształca w pokój, pokój się kończy i przeobraża w wojnę ... bez życia nie byłoby śmierci, a bez śmierci nie byłoby życia. Bez 'na górze' nie byłoby 'na dole', a bez 'na dole' nie byłoby 'na górze' ... bez łatwości nie byłoby trudności, a bez trudności nie byłoby łatwości". Oczywiście kontynuacja tych "głębokich" myśli winna być konstatacja, że władza komunistyczna nie jest ostateczna. Tak też twierdził Mao w latach 'szesdziesiątych negując możliwość powstania marksistowskiej utopii czyli ustroju bezklasowego /de facto służyło to jednak tylko prowadzeniu nieustannej rewolucji i eliminacji wszelkich przeciwników w partii/. A cóż poza tym proponuje światły umysł przewodniczącego? Kult chłopstwa a raczej kompleks miasta /w cza sie na przykład wojny domowej zdobyto miasta, była to jednak również "zła rzecz", bo miasto psuje/. Kult pracy fizycznej jako takiej, co sprawowało się do zamykania ludzi pióra w specjalnych instytucjach, czyli obozach koncentracyjnych. Negacja intelektu - im człowiek więcej umie, tym jest gorszy /tu: "Nie powinniśmy czytać zbyt wielu książek. Powinniśmy czytać książki marksistowskie, ale i tych nie za wiele. Dobrze przeczytać około tu-

szyna ..." albo "Cesarz Wu dobrze się sprawował we wspaniałych latach, ale potem osytał dużo książek i już tak dobrze się nie sprawował. Umarł z głodu". Prymat praktyki nad teorią "smak gruski posnad można tylko w ten sposób, że się ją je". Purytańska /rewolucyjna/ obyczajowość seksualna - w kołach ludowych organizowanych w czasie rewolucji kulturalnej, kontakty damsko-męskie odbywały się wg doboru losowego, w terminach wyznaczonych przez komendanta. Egalitaryzm polegający na uniformizacji społeczeństwa /w dosłownym znaczeniu tego słowa - słymie jednokowe drelichy/ oraz na zmniejszeniu ryzykowności i obowiązków pracy fizycznej w tygodniu; te ostatnie obowiązki rzecz jasna nie dotyczyły ideologów egalitaryzmu. Sztuka i literatura służy różnym klasom, przy czym prawdziwie dobra sztuka to taka, która służy masom ludowym i dlatego artystów należy przeobrazić duchowo /sposób? por.: negacja intelektu /.

Na jakim poziomie myśli, na takim praktyka. Początkowo wydawało się, że Chiny kopiuja model sowiecki: 1950 - rozparcelowanie ziemi między ubogie chłopstwo, od 1955 - przymusowa kolektywizacja; początkowo w miarę dobrze rozwijający się przemysł prywatny zostaje całkowicie w 1956 roku upaństwowiony, a priorytet uzyskuje przemysł ciężki /I Plan Gospodarczy 1953-57/, co jest absolutnym nonsensem w przy padku tak zacofanego kraju. Równocześnie niemal z radziecką, przyszła chińska odwilż. Po XX Zjeździe KPZR i słynnym tajnym referacie Chruszczowa, demaskującym część zbrodni Stalina, Mao Tse-tung rzuca w maju 1956 roku hasło "Niech rozkwitną sto kwiatów, niech się ściera sto myśli". Spodziewano się, że w warunkach zupełnej swobodnej dyskusji prowadzonej z różnym stanowisk łatwiej będzie realizować modernizację kraju i - co najważniejsze - społeczeństwo zostanie przekształcone do marksizmu. Oczywiście nie takiego nie nastąpiło i kiedy na łamach prasy coraz częściej mówiono, że "Komunistów nie są właścicielami Chin ... jeśli nie stają na nieszczęście krajowi, jest rzeczą normalną, że lud ich odwołuje ...", już w rok później oświadczone, że rewolucja "stu kwiatów" była z góry zaplanowanym manewrem, który miał skłonić "elementy antypartyjne" do ujawnienia się, aby móc je następnie zniszczyć.

W 1958 roku podjęto próbe jeszcze jednego eksperymentu ogłaszając program "wielkiego skoku naprzód", który miał doprowadzić do cudu gospodarczego i przegonięcia Zachodu /w ciągu pięciu lat produkcja przemysłowa miała wzrosnąć sześciokrotnie!. U źródeł tego pomysłu stała niemała mistyczna wiara w masy chłopskie, których żadne "burżuazyjne, pseudo-obiektywne" trudności nie mogą krepować. Jeśli zatem chce się mieć 10 razy większe zbiory ryżu, to trzeba go siać dziesięciokrotnie więcej. Aby zwiększyć produkcję stali wystarczy aby każda rodzina zbudowała własnym sumptem dymarkę, w której stopi wszystkie metalowe przedmioty /np. garnki zdane jeszcze do użytku/ i dostarczyła państwu określonej ilości stali. Rzecz jasna sadzonki ryżu się dusiły, a "wyprodukowane" stali nie było jak transportować. Statystyki zatem fałszowano, a lata 1959-62 stały się okresem głodu.

W tym też czasie otwarta forma przybrał konflikt radziecko-chiński. Już od samego początku praktyki rewolucyjnej Mao różnił się w dość istotny sposób od sowieckiego, tak jak i niektóre myśli Przewodniczącego od myśli Generalissimusa. Jednak opozycja obu imperiów wyrosła z samodzielnosci chińskich komunistów i ich aspiracji w polityce światowej, a nie z różnic ideologicznych. Po początkowych próbach "wyrwania" spod wpływu ZSRR innych krajów /Albanii, potem Somali/, po porażce dla Gomułki w 1956 roku i Dubczeka w 1968 roku Chiny przeszły do ataku na Moskwę z pozycji pryncypialnego stalinizmu, atakując ją z powodu za ustepliwosc wobec Zachodu jak i hegemonistyczne tendencje. Radykalne zerwanie z Rosjanami pozwoliło też uzasadnić dotychczasowe kłopoty gospodarcze złym przykładem /Mao przy pominięciu, że sam przez trzy lata nie mógł jeść jajek i rosołu, bo w jakimś artykule sowieckim napisano, że to szkodzi/.

W cieniu tych kłopotów toczyła się walka frakcyjna w KPCh. Najogólniej, różnica między nimi polegała na głoszeniu bądź to modelu sowieckiego, w miarę pragmatycznego, zainteresowanego w technicznej, wojskowej i ekonomicznej modernizacji kraju, bądź to utopii marksistowskiej, wierzącej we wszechmoc ideologii i przemocy sprawowanej przez masę /a nie przez partię, wojsko i policję/.

W wyniku klęsk lat 1959-62 Mao, jak się zdaje, stracił władzę na rzecz "pragmatyków" w rodzaju Liu Szao-tsi i Teng Siao-pinga. Jednak na przełomie lat 1965 i 1966 twórcy ChRL udało się - pod hasłami "rewolucji kulturalnej" i naprawy sytuacji gospodarczej poprzez powrót do komunistycznych źródeł - ponownie stanąć do walki o władzę, która doprowadziła kraj do stanu wojny domowej, nie mniej okrutnej niż ta przed 1949 rokiem.

Sojuszników swoich znalazł Mao w młodzieży akademickiej, której wskazał winnych wśród biurokracji partyjnej, dążącej rzekomo do restauracji kapitalizmu oraz "reakcyjnych autoritetów akademickich" szerzących "burżuazyjną ideologię". Bojówką fanatycznej młodzieży, tzw. "czerwonej gwardii" /"hunybinów"/, którym mówiono, że dzięki wierności partii są posiadaczami największej wiedzy, niedostępnej "pseudo-uczonym", plądrowały uniwersytety, mordowały profesorów i dawnych aparatczyków, paliły książki w imię komunizmu i równości. W tym też czasie rozpoczęła się światowa kariera "czerwonej książeczki" z myślami wodza. Jest to rodzaj popularnego katechizmu dla każdego Chińczyka na temat partii, klas, imperializmu, miłości, pracy itp. Większość z rad wydaje się być "szalenie" nowatorska i głęboka, na przykład: "... trzeba być odważnym i skromnym, nie zważać się przeciwnościami".

"Oficerowie nie powinni być żołnierzami, a żołnierze powinni płacić za to, co kupują".

"Świat postępuje naprzód, przyszłość jest promienna i nie może zmienić tego ogólnego dążenia historii".

"Imperializm nie potrwa długo, bo zawsze robi się rzeźnię".

"Fabryki można budować tylko jedna po drugiej. Ziemię można orad tylko po kawałku. To samo z jedzeniem posittku ... Nie można pokonać jednym tykiem całej usaty. To się nazywa

rozwiązanie stopniowe".

"Wielotętny grają na fortepianie dobrze, inni ale i między melodiami, które grają jest wielka różnica".

"Każda jakobś ujawnia się w pewnej ilości, a bez ilości nie może być jakości".

Nie trzeba dowodzić, że młodzi radykałowie byli święcie przekonani, że wszelkie problemy najlepiej rozwiązuje się przez czytanie "myśli Mao". Nic więc dziwnego, że wkrótce kult Przewodniczącego nabrał karykaturalnych rozmiarów. Czytając aforyzmy zdawali chorzy, sprawnie operowali chirurdzy, sportowcy bili rekordy świata /nigdy zresztą nie uznane przez międzynarodowe federacje/. Doszło do tego, że 200-osobowa /!/ ekipa zdobyła "zobycia" Mount Everest, nie stosując żadnego wysoko-górskiego sprzętu, a recytując tylko co chwile "książeczkę" i stosując metode "żywej drabiny" / po prostu stawano sobie nawzajem na barkach i wdrapywano się w ten sposób na niedostępne granie - wg oficjalnych danych / wyprawy zginęła/.

W momencie kiedy już nikt nie pantał nad konwulsjami "rewolucji kulturalnej", kiedy poszczególne frakcje wyłaniały się z humybinów, by zostać wkrótce wymordowane przez innych, a atary aparat został już całkowicie wyeliminowany, Mao Tse-tung wprowadził w 1969 roku armię, której udało się w miarę opanować sytuację i zesłać do "obozów wiejskich" najbardziej bojowych gwardzistów. Na placu boju pozostał Mao ...

Przełom 1969 i 1970 roku to również apogeum konfliktu z ZSRR, tym razem mającego ujawnić się w granicznych starciach zbrojnych. Punktem zapalnym była sprawa granicy na rzece Ussuri /1 200 km/, która wedle niezaakceptowanych przez Chiny ustaleń z wieku XIX przebiegała na brzegu chińskim i uniemożliwiała handlową żeglugę /wedle dzisiejszych norm międzynarodowych granica przebiega zawsze środkiem koryta rzeki/. Toteż kiedy na małej dotychczas zapomnianej, bezludnej, skalistej wysypce Diemak /czen-pao/, została zainstalowana radziecka strażnica graniczna, zaatakowały ją oddziały chińskie. Na osobisty rozkaz Breżniewa użyto wówczas ciężkiej artylerii i zginęło kilka tysięcy Chińczyków. Mao zrezygnował z pretensji /tę sprawę uregulowali - na korzyść ChRL - sami Rosjanie w 1983 roku/.

A prócz wspomnianego konfliktu należy wspomnieć jeszcze o udziale wojsk chińskich w wojnie koreańskiej /1950/, aneksji Tybetu /1950/, próbach zdobycia Tajwanu, wojnie z Indiami o Assam /1962/ czy też "karnej wyprawie" przeciwko Wietnamowi /1978/.

Od początku lat osiemdziesiątych w Chinach ma miejsce nowy eksperyment: wprowadzenie w dużej części kraju zasad zachodniego wolnego rynku. Towarzyszą temu liczne reformy społeczne, a także otwarta polityka zagraniczna /kontakty z Zachodem, "demoludami", wielkimi bankami/. Deklarują się jednak równocześnie wierność dotychczasowym zasadom ustrojowym i ideowym. Fakt ten w połączeniu choćby z historią Chin zmusza do sceptycznego osądu możliwości istotnych zmian w obrazie państwa. /W warunkach politycznego totalizmu nie może się bowiem powieść żadna próba modernizacji życia/.

K G. Buntowszczyk

Mysiąc o Gandhim, o jego postawi i działaniach politycznych, nie sposób zrezygnować z refleksji dotyczącej związków moralności z polityką /choćby wydaje się, że należałoby oba pojęcia zdecydowanie rozdzielić, jak pisał Marcin Król "...moralność nie znosi wsłędności i kompromisu, polityka bez nich żyć nie może"/ to jednak w praktyce problem ten istnieje.

"Kiedy bezpieczeństwo kraju zależy od takiej czy innej decyzji, żadne względy sprawiedliwości czy krajowy ludzkości, czy okrucieństwa, honoru, czy hanby nie mogą wchodzić w rachubę."

- pisał prawie 500 lat temu Machiavelli, od którego nazwiska powstał potem termin "polityka machiawelska", który oznacza działania polityczne nie uwzględniające żadnych norm moralnych, a których podstawową wartością jest skuteczność. U podstaw tej konstatacji leży pesymistyczny pogląd Florentożyka na naturę ludzką, która z gruntu zła musi też prowadzić złe działania. Machiavelli mówi też więc: "...ludzie muszą być albo gławkami, albo anizozami /.../ jeżeli już mamy wyrazić krasną, to musi być ona tak wielka, by nie potrzebna było obawiać się zemsty".

Sposób oceniania polityki w związku z jej skutecznością ma tradycje sięgające jeszcze do Tukidydesa, poprzez Napoleona /mówiącego o sobie "Jestem raz liem, raz lwem"/, Talleyranda i Bismarcka aż po twórców faszyzmu /Mussolini nie rozstawał się z egzemplarzem "Księcia" / i komunizmu.

W opozycji do powyższego nurtu stoi myśl twierdząca, że polityka jako dziedzina działalności ludzkiej winna opierać się /w analogii do stosunków międzyludzkich/ na poszanowaniu człowieka, co ma z kolei źródło w przestrzeganiu norm moralnych. Zatem prawdziwa polityka musi być moralna. Nie istnieje zatem problem: skuteczność czy moralność. Skuteczność staje się tylko środkiem w służbie człowieka. Innymi słowy: wybór niemoralnych czy skutecznych środków, pociągając za sobą odrzucenie prymatu moralności, stawia pod znakiem zapytania kryteria wyboru celu. Pokrzywdzeni, którzy tak walczą, stają się na tym samym poziomie, co przeciwnicy. Każdy, kto stosuje metody nazistowskie staje się nazistą.

Stanowisko takie wypływa zazwyczaj z silnej religijności. Obok ewangelicznej zasady "nastawiania drugiego policzka", jeszcze silniej nadrzedność etyki w życiu człowieka, uwidacznia się w niektórych religiach Wschodu, które ograniczają bądź wręcz zakazują stosowania jakiegokolwiek przemocy, a już tym bardziej odbierania życia istocie żywej. W praktyce politycznej skrajność takiej postawy /w dużej mierze deklaracyjna/ może prowadzić jednak do męczeństwa lub przynajmniej do wyizolowania się z życia społecznego. Człowiek moralny, chcący dać świadectwo prawdziwe, a jednocześnie rezygnujący z jakiegokolwiek fizycznego wpływu na wydarzenia, zatrokany jedynie sprostanu zasa dom, które w działaniu mogłyby zrukać, zamyka się w samym sobie. A sposobem na życie okazuje się wtedy niedostrzeżenie zła.

Symbolem polityki non-violence /lepiej określenie niż bierny opór, który wszak zakłada bierność/ jest Mohandas K. Gandhi.

Powszechnie twierdzi się, że Gandhi decydując się na działania polityczne, poszedł na kompromis ze swoimi zasadami. Gandhi rzeczywiście - przy podkreśleniu potrzeby etyki - deklarował się jako polityk. Nie widział w tym jednak nic niegodnego, a tym bardziej sprzecznego ze swoją religią. Twierdził, że

"by stanąć twarzą w twarz z Prawdą, trzeba nosić w sobie miłość do najmniejszego stworzenia żyjącego na świecie. Dla człowieka, który do tego dąży, żadna dziedzina naszego życia nie może być obca. Oto dlatego moja wiara w Prawdę popchnęła mnie w kierunku polityki."

Gandhi i walka bez użycia przemocy

Stoi za tym głosem tak obecna w hinduizmie zasada ahimay czyli niewyrządzania zła, która w poszerzonej interpretacji Mahatmy stała się zasadą czynnego przeciwstawiania się złu. Nigdy nie wpadł on przy tym w ślepa uliczkę ortodoksy. Zauważał, że "tak długo, jak oświata jest ostonkiem społeczeństwa, musi brnąć udział w wyrządzeniu zła". Zatem nieczynienie zła polega raczej na tym, aby ze wszech miar dążyć do uniknięcia złamania zasad ahimay.

Inne hinduskie pojęcie, dharma /prawo wewnętrzne, wskazująceobowiązki, jakie jednostka ma spełnić na drodze swego rozwoju/ tłumaczy polityczną elastyczność wielkiego Hindusa. Sam mawiał, że nie chce być konsekwentny, lecz pragnie żyć w zgodzie z Prawdą, tak jak mu się ona w danej chwili objawia. Tak więc pojęcie Prawdy oznacza tu wszystko co jest dobre, co przeciwstawia się złu, a czego kryterium oceny stanowi tu głównie ów wewnętrzny głos.

Potrzebę Prawdy podkreśla Gandhi nieustannie. Metoda walki politycznej bez użycia przemocy nazywana jest "satyagraha" czyli "trwaniem w prawdzie"; tytuł autobiografii to "Dzieje moich poszukiwań Prawdy". Słowo "poszukiwania" przypomina o tolerancyjności Gandhiego. Mówił bowiem, że ten, kto chce poszukiwać Prawdy, często/będzie się białak po omacku i dlatego nie należy ustawać "w odnajdywaniu w człowieku jego dobrych właściwości i trafiaćiu do jego serca". Ten szacunek - fakcie wobec nieprzyjaciela - idzie w parze z umiejętnościami dyplomatycznymi "...przeciwnikowi zawsze należy zostawić możliwość manewru /.../ musi wyjść z walki z honorem". Postawa taka wraz z nieodłączną Gandhiego skromnością i łatwością nawiązywania kontaktów musiały zdobyć mu uznanie drugiej strony.

Istotną sprawą był jego stosunek do przemocy. Musiał ją - choćby z powyższych powodów - odrzucić. Nie była to jednak negacja bezwarunkowa.

"Jestem przekonany, że gdzieś wybór postawiały jedynie między chorościami i gwałtem, nawiązywał do gwałtu. Najstarszy z moich synów zapamiętał kiedyś, co byłoby jego obowiązkiem, gdyby był obecny podczas próby zana-

chu na mnie w 1908: czy należałoby uciec, przyglądając się z dala jak mnie zabijają, czy też bronić mnie nawet przy użyciu gwałtu. Odpowiedziałem, że jego obowiązkiem byłoby bronić mnie nawet przy użyciu gwałtu."

Mohandas Gandhi był przede wszystkim człowiekiem czynu, który cenił znacznie wyżej, niż teorię. Dlatego też większość z udzielanych przez niego rad miała charakter praktyczny. Krótki katalog zaleceń działań zawiera jego artykuł z roku 1919 "Co winien czynić naród w wypadku mego aresztowania?". Nie zalecał wówczas spektakularnych manifestacji i "hartali" /jednodniowych strajków, polegających na nieopuszczeniu mieszkań/, lecz ułożył listę działań stopniowych. Ot wierał ją pisemny protest, petycja poprzędająca wyostawienie ultimatum dotyczącego konkretnego

wybranego celu; opuszczanie rządowych uczelni i zakładanie narodowych, nieodwołujących się do istniejącego sądownictwa i zastąpienie go społecznymi komisjami rozjemczymi, bojkot angielskich towarów, niepodjęcie pracy w aparacie państwowym, rezygnacja z otrzymanych od znaczeń i godności /co też sam uczynił/, i na koniec - odmowa służby wojskowej.

W następnych latach wachlarz środków się zwiększył. Doszły doń: hartale, nieograniczone strajki głodowe, zgoda na uwięzienie, odmowa płacenia podatków, pokojowe marsze, samowystarczalna produkcja. A towarzyszyć temu miało zawsze odrzucenie przemocy.

Można postawić pytanie, jak powinny wyglądać w tych wypadkach relacje jednostka-system prawny. Gandhi był za oporem w granicach legalizmu prawnego. W początkach swej działalności w Indiach /1917/ udał się do jednej z północnych prowincji, by na zaproszenie tamtejszych wieśniaków zbadać ich trudną sytuację. Lokalne władze zareagowały na to groźbą jego uwięzienia. Jednak nie skapitulował i chętnie stanął przed sądem:

"...miałem stanąć przed sądem, w rzeczywistości jednak na ławie oskarżonych zostałem rąd."

Ale legalizm nie zawsze jest możliwy. Jeżeli bowiem prawo jest niesprawiedliwe, przestrzeganie go byłoby niegodziwością. W takich wypadkach trzeba być śmiałym i odważnie ponieść konsekwencje. Takim też zaprezentował się Gandhi, kiedy w marcu 1922 roku sądzono go za nawoływanie do nieposłuszeństwa wobec praw brytyjskiego imperium.

"Kto nas podejmuje walkę bez gwałtu - obwładany na procesie - winien wsiad na siebie karę za odmowę współpracy ze złem. Dlatego stoję oto tutaj, aby żądać dla siebie najcięższej kary i poddać się jej z radością - żądać kary, która ma mnie spotkać za to, co wedle prawa jest przestępstwem umysłowym, ale co mnie wydaje się najcięższym obowiązkiem obywatela. Panu, panie Sędzio, podobnie do wyboru: zrezygnować ze stanowiska i zerwać w ten

sposób ze złem, jeśli pan osuże, że prawo, nad którym proszę panu powierano jest niesprawiedliwe /.../, albo wydać na mnie najcięższy wyrok, jeśli pan wierzysz, że system oraz prawo, które pan reprezentuje, są dobre dla narodu tego kraju..."

Gandhi sądził więc, dobrowolne przyjęcie na siebie represji /sam spędził w więzieniu 2 338 dni/ może otworzyć oczy nieprzyjacielowi, światu, a nade wszystko ludowi, gdyż jak mawiał: "za nasze poddaństwo winne są nie tyle brytyjskie karabiny, co nasze dobrowolne współdziałanie".

Charakterystyczne dla postawy Gandhiego są lata 1917-1922, kiedy to trzykrotnie budził Hindusów do masowej akcji non-violence i trzykrotnie gasił ów ruch. Zaczęło się w chwili uchwalenia przez władze represyjnej ustawy antyterrorystycznej, będącej praktycznie atakiem na wolności obywatelskie. Wydawało się, że Hindusi odniosą sukces. Już w pierwszy dzień akcji strajkiem zostały objęte całe niemal Indie. Jednak olbrzymia akcja, w której zabrakło doświadczenia prowincjonalnym działaczom, musiała się przerodzić w akty przemocy. Kulminacyjnym punktem fali utarczek stała się rzeź cywilnej ludności w Amritsarze /13 IV 1919/, kiedy to wskutek ataku Anglików zginęło około 1 500 osób.

Jeszcze dwukrotnie, w niewielkich odstępach czasu ogłaszał Gandhi akcje "opuszczenia miast" - w dniu przyjazdu księcia Wali /1921/ i parę miesięcy później w proteście przeciwko nowym represjom. Akcje te udawały się w sposób zaskakujący dobry, znajdując oddźwięk w całym niemal społeczeństwie indyjskim. Niestety, idee ał nigdy nie jest osiągalny - tak więc i wówczas znaleźli się tacy, którzy bardziej zaufali stosowaniu przemocy. I chociaż były to przypadki incydentalne, zrobiły przynębiające wrażenie na Gandhim. Na wieść o zajęciach w Czauri-Czaura w lutym 1922 /nota bene, spowodowanych przez policję/, wziął za nie na siebie osobistą odpowiedzialność, czyniąc publicznie spowiedź: "Bóg objawił mi, że w Indiach nie ma panować jeszcze atmosfera Prawdy". Podjął wówczas nieograniczoną głodówkę, mającą zadośćuczynić jego bledom.

Jego charyzma spowodowała nie tylko zaniechanie walk, ale wręcz bratanie się obu stron. Współpracownicy byli jednak zirykowani - w momencie, kiedy cała akcja święci sukcesy, marginalne przypadki nakazują Gandhimu utracić jej rewolucyjny impet. On jednak nadal utrzymywał, że nad ułudę doradczą skuteczności wyżej cenić należy nakazy religijne.

Na następny kryzys kampanii winny trzeba chyba było do przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, i dwu - najbardziej chyba spektakularnych - akcji Gandhiego: wyrobu płótna oraz marszu solnego.

Cofnijmy się do roku 1905. Wówczas to powstał w Indiach zapoczątkowany ruch "swadeszi", polegający na bojkocie wszystkich brytyjskich towarów. Od początku jednak, jego konsekwentne prowadzenie napotykało na trudności. Mahatma, będąc przeciwnikiem "swad szii", wysuwał

argumenty dwójakiego rodzaju, tłumacząc nimi dotychczasowe niepowodzenia. Otóż wszelki bojkot jest akcją skierowaną bezpośrednio na przeciwnika i prędzej czy później musi zakończyć się zwycięstwem, czemu ze względów etycznych i praktycznych /stosunkowa słabość ruchu/ należy się sprzeciwić. A już tym bardziej, że w praktyce absolutny bojkot musi zaważyć, narażając projektodawców na śmieszność. Bo czyż w tak zacofanym kraju jak Indie nawet przywódcy ruchu oporu mogliby zrezygnować z każdego towaru brytyjskiego? Zamiast tego Gandhi zaproponował coś innego: "Khadi" czyli powszechne w całych Indiach tkanie domowym sposobem, na małych kołowrotkach płótna samodzielnego na własny użytek. Byłby to środek, który mógłby zapobiec coraz większej nędzy opanowywanej Indii, a co najważniejsze, w sposób naturalny umożliwiłby odrzucenie angielskich towarów tekstylnych. /Brytyjczycy byli wówczas absolutnym monopolistą na rynku, ze wszystkimi tego konsekwencjami, zarówno gospodarczymi jak i politycznymi/. Ruch "khadi" rósł szybko, stając się wkrótce konkurentem dla największych producentów i zyskując podziw całego świata dla metod walki bez przemocy. Pojawił się jednak zarzut, że akcja ta faktycznie krzywdzi również niewinnych /fabryki tekstylne w Anglii, po wcześniejszym okresie prosperity były wówczas masowo zamykane z racji utraty rynku indyjskiego - rosła zatem liczba bezrobotnych/. Byłby to więc argument wspierający twierdzenie, że każda walka krzywdzi kogós.

Gandhi specjalnie odwiedził robotników fabryki Lancashire, podczas swego pobytu w Anglii aby wytłumaczyć im swoje racje. Ku jego zaskoczeniu, został bardzo serdecznie przyjęty, co pomogło wyluszczyć sens "khadi".

Najciekawszym przykładem strategii non-violence jest jednak tzw. "kampania solna" zorganizowana w 1930 roku. Prześlanka jej było przekonanie, że skończy się już możliwości działania w ramach systemu brytyjskiego, a w celu rzeczywistej poprawy swego losu trzeba ten system obalić. Tym większym jednak zaskoczeniem - w stosunku do głoszonej wsząd potrzeby rewolucji - staje się wybór płaszczyzny konfrontacji. Oto Gandhi postanawia walczyć o zniesienie angielskiego monopolu na produkcję soli i obowiązującego w związku z tym Hindusów podatku od niej. "W naszych szeregach" - pisze Nehru, późniejszy prezydent Indii - zaplanowano obywatelstwo. Co służy może wspólnej walce o wyzwolenie narodu?" Tym bardziej drwiąco przyjęli Brytyjczycy "pomysł gotowania wody morekłej w rondelku w celu obalenia króla". A jednak akcja okazała się szczególnie skuteczną. Zmuszenie uboższego hinduskiego wieśniaka do płacenia podatków obcemu rządowi za sole nie własnych, bardziej niż skromnych posiłków, znakomicie ilustrowało ciężenie nad Indiami obcej dominacji. Toteż kiedy sam Gandhi w towarzystwie dwustu osób wyruszył z serca kraju nad morze, aby samemu zwarzyć symboliczny pierwszy garneczek soli, nastąpiło prawdziwe po kojowe powstanie /ani jednego aktu przemocy/ setek tysięcy Hindusów, którzy nie bacząc na represje, zbiorowo wymawiali postuszeństwo, ła

miąc "solny monopol". Sam marsz /szeroko i z sympatią relacjonowany przez całą prasę światową - co jest istotne i warte zapamiętania/ zakończył się wielotysięczną manifestacją na wybrzeżu, a władze stosując brutalne represje poniosły moralną klęskę i zostały zmuszone do podpisania porozumienia.

Największe kłopoty w ocenie moralnej i wska zórkach praktycznych przyniosły Gandhiemu zjawiska będące tworem wieki XX i społeczeństw masowych: powstanie państw totalitarnych oraz zmagania na frontach drugiej wojny światowej. A jednak, jak pisze Orwell

"nie starał się... przyjąć niesnownej i jałowej postawy, udającej, że nie ma najmniejszej różnicy pomiędzy tymi, którzy tę wojnę prowadzą, a w związku z tym nie jest istotne, kto wygra".

Co więcej, już w 1938 roku, właśnie w wojnie przeciwko hitlerowskiej III Rzeszy widział jedyną możliwą przyspadek zaistnienia sprawiedliwej wojny "podjętej dla ludzkości przez ludzkość". Dlatego też z tak dużą sympatią odnosił się do walki Polaków w latach późniejszych.

Najwięcej kontrowersji wzbudził jego wypowiedzi dotyczące Żydów. Sprowadzały się one do postulowania popełnienia przez nich zbiorowego samobójstwa w celu "otworzenia oczu świata na okropności popełniane w Niemczech". Ta szokująca przeciętnego Europejczyka wypowiedź spotkała się z gorącym protestem samych Żydów. Martin Buber /filozof przebywający podówczas w Palestynie/ pisał do Gandhiego:

"Męczeństwo wymaga świadków, a jeżeli tych świadków nie ma? Męczeństwo bez świadków, nieskuteczne, nie zaważone, męczeństwo, którego ślady zatarło - oto losy niezliczonej ilości Żydów w Niemczech".

Inny działacz żydowski, Hayem Greenberg twierdził, że "satyagraha jest sprawą specjalnych predyspozycji", do których kultura europejska nie przygotowuje, a poza tym, niepoważalne wydaje się stwierdzenie, że przy przekroczeniu pewnych granic cierpienia, jedyną reakcją nań staje się rozpacz i zwątpienie.

Gandhi był jednak na swój sposób konsekwentny:

"Ahimsa stanowi najskuteczniejszy oręż walki ze złem. Ludzie cierpiący nie ujrzą może jej wyników podczas swego życia, ale mogą wierzyć, że sukces jest pewny".

To samo zalecał zresztą parę lat później, kiedy Indiom zagroziła japońska inwazja. Zalecał wówczas bierny opór, nawet w wypadku stosowania przez najeźdźców skrajnego terroru. Jak zwykle był przekonany, że ostateczne zwycięstwo zawsze należy do tych, którzy przestrzegają nakazów moralnych i - nie stosując przemocy - wolą raczej śmierć niż uległość.

"Jednocześnie mamy podstawy sądzić - zacytujmy raz jeszcze George'a Orwell'a - że Gandhi, który przesiadł w więzieniu w 1918 roku, nie rozumiał natury totalitaryzmu i patrzył na wszystko przez pryzmat walki, jaką prowadził z rządem angielskim... Trudno powiedzieć

jak sprawdziłyby się metody Gandhiego w kraju, gdzie ludzie s opozycji znikają w środku nocy i nigdy się już o nich nie słyszy. Bez wolnej prasy i prawa do zgromadzeń nie tylko nie jest możliwe wyrażenie się do opinii publicznej poza granicami kraju, ale także stworzenie masowego ruchu, a nawet powiadomienie o naszym samobójstwie przeciwnika. Czy w tej chwili w Rosji dzieła jakiegoś Gandhiego? A jeżeli tak - to oś może on osiągnąć? Społeczeństwo w tym kraju mogłoby stosować opór, gdyby jego idea przesyłała wszystkim na raz, a nawet wówczas, sądząc po historii głodu na Ukrainie, nie przyniósłby nic konkretnego".

Z dzisiejszej perspektywy trzeba się zgodzić z powyższymi zastrzeżeniami, podkreślającymi nieprzystawalność "gandhyzmu" do totalitaryzmu. I chociaż nie jest celem niniejszego artykułu rozstrzygnięcie o dzisiejszej przydatności tego pierwszego, to jednak wydaje się, że zdecydowanie "nie pasuje" on do dzisiejszego świata. Bowiem jeśli nawet "czysty" totalitaryzm należy do stosunkowo krótkich okresów historii, to dlaczego "gandhyzm" nie święci triumfów w innych również dosyć nieprzemysłowych systemach? Wydaje się, że nie decyduje tu osobowość przywódcy. Ważniejszym powodem jest obojętność kulturowa Wschodu /z tak namiętną - a jednocześnie inną - religijnością/ wobec eurocentryzmu Zachodu oraz - co chyba najważniejsze - epoka Gandhiego jako zamknięty etap historyczny. Taki ruch mógłby mieć miejsce tylko w tamtych czasach: kolonializmu, a jednocześnie prąworządności i otwartości informacyjnej. Dziś znaleziono skuteczniejsze metody "zarządzania" społeczeństwami: dzięki rozgątkowaniu partyjnym i administracyjnym, społeczeństwa te "rządzą się" same. Nie ma więc obcych a jednocześnie przestrzegających pewnych reguł ciemnościeli: wszyscy uciekają od wolności.

Jest jednak w Gandhim czystość charakteru, której nie można nie zauważyć i nie docenić - i ona to nade wszystko stoi u podstaw jego myśli politycznej. Tak więc z dziwnej, anachronicznej czy wręcz śmiesznej dla niektórych "moralności w polityce" wyrósł czyn polityczny skuteczny - odzyskanie przez Indie całkowitej niepodległości bez niemal jednego wystrzału i zupełnie pokojowym wycofaniu się okupantów. Czyn niepowtarzalny i wyjątkowy, który jednakże nie mógłby zaistnieć bez Gandhiego i jego wiary w dobrą naturę człowieka. Najciekawiej jednak mówi o tym - jak zwykle - sam Gandhi. Zacytujmy go na koniec raz jeszcze:

"Ani ja, ani żadna inna jednostka nie może wyzwolić narodu. Niepodległość może sobie wywalczyć tylko sam naród - naród, który dojrzeje do niepodległości. Mamy taką władzę, na jaką zasługujemy. Jeśli my staniemy się lepsi, władza będzie musiała stać się lepszą. Odmowa współpracy z rządem, to decyzja narodu, aby stać się lepszym".

Jerzy Tur



Polecamy Waszej uwadze ...

Wydaje się, że sytuacja powinna wyglądać lepiej na polu literatury. Niestety, pamiętając olibryzmie założeń w przyswajaniu polskim czytelnikom najważniejszych pozycji obcojęzycznych /nie tylko zachodnich/, trudno właściwie na naszym rynku wydawniczym znaleźć przekłady światowych nowości. Przyczyną takiego stanu rzeczy są na pewno złożone /brak tłumaczy, ignorancja wydawców, świadome działanie władz politycznych odpowiedzialnych za kulturę, niewiarygodnie długi cykl wydawniczy itd./, ale nie zmienia to faktu, iż stopniowo tracimy kontakt z literaturą europejską, a zwłaszcza amerykańską, co nie może pozostawać bez wpływu na poziom polskiej kultury.

W tych okolicznościach do roli niezastąpionego przewodnika po obcych literaturach urastają periodyki zamieszczające przekłady. Obok "Dialogu", "Odry" i "Literatury", w których dział tłumaczył jest niezłe redagowany, mamy miesięcznik /wychodzący jednak dość nieregularnie/ w całości poświęcony twórczości obcojęzycznej - "LITERATURA NA STOPIE".

Wprawdzie redaktor naczelny - Wacław Szadkowski - jest zdeklarowanym marksistą, nie rzutuje to jednak w zdecydowany sposób na o-blicze pisma. Oczywiście wybór prezentowanych materiałów ogranicza cenzura, co jest szczególnie widoczne w numerach poświęconych takim twórcom jak: Hannah Arendt czy George Orwell. Wydają co prawda miesięcznik, że zarówno kraj językowy jak i tematyka są mało ciekawe, lecz obiektywnie należy przyznać, iż "Literatura na stopie" jest pismem bardzo wartościowym i w interesujący sposób redagowanym.

Wartość poszczególnych numerów podnosi fakt, iż są one przeważnie monograficzne; pod uwagę wzięto jednego autorów /Buhakow, Nabokov, Dostojewski, Cortazar, Bataille, Arendt, Orwell/, literaturę określonego kręgu językowego /iberomerykańska, żydowska, francuska amerykańska/, wybranej tematyce /wyobraznia literacka, literatura i śmiech, czas w literaturze/. Oprócz przekładów tekstów literackich lub ich fragmentów - znajdują się także eseje krytyczne oraz biogramy poświęcone życiu i twórczości autorów. Relatywnie duży nakład /40 000 egz./ miesięcznika szybko znika z kiosków, potwierdzając gośd na dobrą, współczesną literaturę.

POLECAMY WASZEJ UWADZE...

Do kupowania i czytania dodatku "Tygodnika Demokratycznego" - "NON STOP" poświęconego muzyce młodzieżowej nie trzeba chyba nikogo zachęcać. Miesięcznik ten cieszy się dużą popularnością i jest przez fanów traktowany niemal jak wyrocznia. Pismo redagowane jest w klasyczny sposób gwarantujący sukces: dla każdego coś miłego. Relacje z ważniejszych imprez w kraju i za granicą, wywiady z głośnymi muzykami, recenzje płyt, lista przebojów, ciekawostki zagraniczne, kronika wydarzeń krajowych, ciekawy serwis fotograficzny "Balanga", listy do redakcji, ogłoszenia drobne oraz całostronnicowe ogłoszenia o warunkach zatrudnienia w państwowych zakładach produkcyjnych /lista paranoja/ składają się na mieszankę, która właściwie uniemożliwia jednoznaczne określenie profilu tego periodyku.

Zwraca przede wszystkim uwagę brak tekstów kontrowersyjnych czy krytycznych. Ostatnio pojawiające się wyjątki - teksty o Janie Borysewicz i o Szczerpanie z "Po Prostu" - stanowią być może zapowiedź pozytywnych zmian w tym zakresie. Zjawiska muzyczne prezentowane w "Non Stopie" sprawiają wrażenie jak gdyby były pozabawione szerszego kontekstu kulturowego, socjologicznego i historycznego /zarzut ten dotyczy szczególnie muzyki polskiej/.

Mimo wszystko ogólna ocena pisma wypada dobrze, choć należy wystrzegać się bezkrytycznego przyjmowania wyrażanych w nim sądów i opinii.

o współczesnej Polsce.

- Współczesnej, to znaczy jakiej: Bieruta, Gomułka, Gierka czy Jaruzelskiego?
- Nie, o naszej.
- To ładnie. Czytała pani Współczesnego?
- Widziałam film, Wajdy zdaje się.
- Tak. Pamięta pani o tym serduszkę? "A to Polska właśnie"?
- Pamiętam. To o mnie. Od dzieciństwa. Ale chcę ją poznać. Co mam czytać?
- Gazety.
- Pan chyba żartuje.
- Nie, wcale nie. Każda książka pokaże pani Polskę albo Gombrowicza, albo Machajkę. Nie ma Polski obiektywnej.
- Ale ja chcę się jej nauczyć.
- Pojedźcie pani, nauczy się na miejscu. Na razie niech pani sobie poczyta gazety i czasopisma.
- Które?
- Wszak ramionami. Co można odpowiedzieć?
- Wszakie - mówię wreszcie. - I niech pani zajdzie do mnie przed wyjazdem, pogadamy. Ile dają za dolara na czarnym rynku. Powodzenia.

LITERATURA PRZEMILCZANA

Trzy rozmowy o literaturze

Dzisiaj w ramach literatury przemilczanej prezentujemy poglądy profesora polonistyki z USA Jeromego R. Krzyżanowskiego. Jego najbardziej przemilczanych /a raczej niesłyszanych/ literatur w Stanach Zjednoczonych - do literatury polskiej. /Cztery rozmowy o literaturze polskiej/, Kultura, kwiecień 1983/.

I

Studentka. Rocznik 62. Rok temu wyszła za mąż za Amerykanina i wyjechała z Polski. Wiele tyle, ile ją tam nauczyło. Chce wiedzieć więcej.

- Czy może mi pan polecić jakąś historię literatury polskiej po pięćdziesiątym szóstym roku?

- Nie mogę.
- Dlaczego?
- Dlatego, że nikt jej nie napisał. Niech pani czyta Kulturę.
- To nie kultura, to polityka.

- Sięgam na półkę, wyciągam gruby tom, czytamy:

- "Polityka jest naszym przeznaczeniem, cyklonem, w którego sercu tkwiący ciągle, choćbyśmy się chronili w łupinkach poezji".
- Kto to napisał? Majakowski?
- Nie. Miłosz.
- Niemożliwe!
- Proszę, niech pani sprawdzi.
- Rzeczywiście. Kto to był Aleksander Wat?
- Poeta, którego znalazł polityka.
- Nigdy o nim nie słyszałam. Włec jak z tą historią literatury? Dlaczego nikt jej nie napisał?
- Nie wiem, może ktoś napisze.

- A może pan ...?
- Kiedyś próbowałem.
- No i co?
- Mój londyński wydawca odesłał z uwagą: "Więcej schabów, mniej Ochabów".
- Co to znaczy?
- To znaczy, że chociaż pisarze emigracyjni stanowią nie więcej niż dziesięć procent współczesnych pisarzy polskich, należy pisać o nich więcej, niż o pisarzach krajowych.
- To może wydaliby w Polsce?
- Przypuszczam, że odpowiedzieliby: "Mniej schabów, więcej Ochabów". Nie przeszkóby.
- A gdyby wydać tu, w Stanach?
- Czy kupiłaby pani książkę za 50 dolarów?
- Chyba nie.
- Właśnie, niech pani czyta Kulturę ...
- Do widzenia, to ja już chyba pójdę ...

II

Student, Amerykanin, kandydat na doktoranta w niedalekiej przyszłości. Rusycysta, chce się przekwalifikować na polonistę. Inteligentny, czytający, dobrze mówi po polsku. Ambitny

- Chciałbym pisać referat o jakimś najwybitniejszym polskim pisarzu współczesnym.
- Co pana interesuje?
- Współczesna proza, powieść, duże formy.
- Politycznione, głębokie, mocne.
- Nie mogę panu niczego takiego polecić.
- Ale przecież ktoś pisze?
- Oczywiście. Niech pan czyta Zapis.
- Zapis się skończył w momencie powstania Solidarności. To zresztą już historia...
- Wszystkie stają się historią. Niech pan wobec tego czyta reportaże zebrane przez Instytut Literacki.
- Ale mnie interesuje literatura, formy artystyczne, struktury.
- Czytał pan Komwiczkiego?
- Czytałem. To zamyły format, wycinek.
- Taki wycinek daje panu wgląd w większe sprawy.

III

Studentka, Amerykanka z polskiej rodziny, mówi po polsku bardzo słabo, ale uczy się gorliwie. Wybiera się właśnie do Polski na studia, dostała stypendium. Podeksytowana i szczęśliwa. Nigdy jeszcze nie była zagranicą, ba, nawet poza rodzinnym stanem.

- Mam trzy miesiące do wyjazdu. Chciałabym jak najwięcej przeczytać, żeby z literatury dowiedzieć się czegoś o kraju.
- O kraju pani przodków?
- Moich rodziców. Ojciec był w Powstaniu, mama w obozie. Ale ja nie chcę o tym. Ja chcę



SZASZŹYK Z SZABLI

Roman Bratny: Szaszżyk z szabli, Wydawnictwo KAW, W-wa 1985, nakład 100 000 egzemplarzy.

Bohaterem nowej powieści Bratnego jest inteligentny awanturnik Edzio Paika, którego zbieg groteskowych okoliczności wynosi do roli przywódcy strajkowego w lecie 1980. Po ogłoszeniu stanu wojennego, internowany na krótko, korzysta on z okazji wyjazdu na wymarzony Zachód. Po przeżyciu piękna w obozie dla uchodźców, gdzie znajduje niemal faszystowski reżim, nasz naiwny bohater namurza się w metny potok życia krajiny, gdzie niebezpiecznego. Jest bezrobotny, żyje na kredyt. Poszczony jednak w kofcu antypolskim, który ma urzędników biura socjalnego, w krótkim czasie zdobywa /zasilek socjalny/,

postanawia zdobyć pracę za wszelką cenę. Homo-socialista Hans, zwalnijący na jego rzecz po sadę chłopca na posyłki w ośrodku gimnastyczno-rekreacyjnym żąda w zamian haraczku w naturze. Wkrótce okazuje się, że praca zdobyta ta kim kosztem jest w rzeczywistości przykrywką dla upokarzającego zajęcia męskiej prostytutki. Pod groźbą powrotu do błędnego koła jałmużny Edzio świadczy więc seksualne usługi podstarzałym erotomankom. Przeszła mu ochota, by trasać ją w gębę i ugasić na jej twarzy ten obłąkany umieszak - opisuje jedną ze swoich przeżyć - ale szybko opanać ten impuls. Położył się, a ona okraczyła go udami i w pozycji na jeżdźca nasażyła miarowo kotłyszak się. Pawoli nabierała rozpędu, z kłusu przechodziła w cwał, a jej wielkie obwisłe pierśi podkaskowały jak worki bokarskie w rytm ciosów. W srebrnym, odbijającym fioletowe światło solarium hełmie na głowie wyglądała jak upiór germańskiej dalkuski. Zaczęła wrasać: Ich bin Walkirie! Ich bin Walkirie! i nagle przygniotała go worami swoich pierśi.

Zaczął się dźwięk; nos, oczy i usta miał pełne woskowego, lepkiego błota.

Na marginesie swych erotycznych galopad Edzio usiłuje zjednoczyć środowisko emigracyjne wokół pomysłu stworzenia tzw. polskiego lobby, którego celem byłoby działanie na szkodę PRL. Jednakże ludzie - pominiwszy o-biedność samego pomysłu - z którymi ma do czynienia, to zwaśnione, zagryzające się nawzajem trupy polityczne, bez woli i ambicji prawdziwego działania. Jedynym ich celem jest podział fikcyjnych ról na emigracyjnym śmietniku, a wyłącznym sposobem bycia - narodowa tramadacja. (...)

Wyrucona z pracy, gdy jedna z klientek umiera nastak serca podczas zbyt gwałtownego galopu, tuła się po ulicach Hamburga. Odratowany po sobie samobójstwa przez młodą przystojną Amerykankę, przychodzi szybko do siebie i zostaje jej kochankiem. Po jednym z miłosnych uniesień Stella przyznaje się, że jest agentem CIA. Zakochany i sfrustrowany kłeska swoich politycznych ambicji Edzio zgadza się

za jej namową dokonać zamachu terrorystycznego na ambasadę PRL w Bonn. Zabrawszy ze sobą bombę i szablę, pamiętkę po pradziadku powstańcu, rusza do polskiej placówki. Obowiązki niony przez pełnych poświęcenia pracowników ambasady, wyrwa się im, by w ślepej furii dokonać szarzy na...świnie, trzymane w przymasasdzkiej zagrodzie. W finałowej scenie powieści Edzio spożywa przygotowaną przez Stellę szaszżyk ze zrabowanej wieprzowiny, na dziany na szablę pradziadka. (...)

Szyderstwo historii przejawia się w tym, że szaleńcze ambicje polityków karleja nie gdzie indziej, ale w warunkach złudnych swobod demokracji zachodniej właśnie, którymi chcieli oni zastąpić ramy realnego socjalizmu. Rozdział historii związany z byłą "Solidarnością" nie zastępuje na rapsod żartobny, zdaje się mówić Bratny, lecz co najwyższe na kuplety. Ze są one najwyższej klasy, wiernych czytelników Bratnego nie trzeba przekonawać.